

Pismo Polskiej Prowincji Zakonu Posługujących Chorym

Kamilianie

Nr 17 (październik-grudzień) 2012



*Nasza
mała
księżniczka*



*Prawdziwa opowieść
o miłości, nadziei
i rozstaniu*

W tym numerze:



Nasza mała księżniczka.

Opowieść o miłości, nadziei i rozstaniu - str. 4

Jak dobrze, że jesteście z nami...

Świadectwa o kamiliańskiej posłudze
w Tarnowskich Górach i Łodzi - str. 9



Kamiliański biskup.

O nowym biskupie i jego diecezji - str. 12



Wypełnię me śluby dla Pana.

Profesja zakonna nowych współbraci - str. 14



„Lasza”- sen, który się spełnił.

Nowy kamiliański ośrodek terapeutyczny
w Gruzji - str. 15

Spotkanie po latach.

Gruzja w oczach brata Roberta - str. 16

Co czeka zakonne placówki lecznicze?

Ustawowe zmiany w naszych dziełach - str. 18



Wspomnienia po 40 latach!

Refleksje o. Szymona Skawińskiego - str. 19



Kamiliańscy nowicjusze.

Sylwetki najmłodszych współbraci - str. 22

Kalendarium zakonne.

Radosne i smutne rocznice - str. 22

Drodzy Czytelnicy!

Pewnego dnia młody ubogi chłopak chodził od domu do domu sprzedając towary, by w ten sposób zarobić na swoje studia. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że już straszliwie zgłodniał, a ma przy sobie jedynie 10 centów. Postanowił więc, że w następnym domu o coś poprosi. Jednak kiedy drzwi otworzyła mu śliczna młoda kobieta, zupełnie stracił pewność siebie. Zamiast posiłku poprosił tylko o szklankę wody. Kobieta dostrzegła jednak, że był głodny i przyniosła mu ogromny kubek mleka. Wypił je bardzo powoli, a następnie zapytał:

- „Ile jestem Pani za to winien?”

- „Nie musisz za nic płacić” – odpowiedziała – „Nasza mama nauczyła nas, abyśmy nigdy nie godzili się na to, by ktoś płacił za naszą dobroć”.

- „Zatem bardzo dziękuję” – odpowiedział młodzieniec.

Opuszczając ów przyjazny dom, Howard Kelly był nie tylko wzmocniony na ciele, ale poczuł też, że na powrót odnalazł wiarę w Boga, którego nie tak dawno starał się porzucić.

Kilkanaście lat później owa kobieta poważnie zachorowała. Odesłano ją do najbliższego większego miasta i poproszono, aby tamtejsi specjaliści zajęli się tak rzadkim przypadkiem.

Wezwano dr Howarda Kelly, aby przebadał pacjentkę. Kiedy usłyszał nazwę miejscowości, z której pochodziła kobieta, natychmiast się zerwał i pobiegł do sali chorej. Podszedł do jej łóżka i bez trudu ją rozpoznał. Chwilę później wrócił do swojego gabinetu z silnym postanowieniem, by uczynić wszystko, aby uratować jej życie. Od tej pory osobiście troszczył się o ten osobliwy przypadek. Po długiej batalii nastąpiło wreszcie ostateczne zwycięstwo!

Dr Kelly poprosił, aby przed wręczeniem chorej rachunku za terapię przedłożyć mu go do sprawdzenia. Rzucił na niego okiem, a następnie dopisał na nim odręcznie jakąś notatkę i odesłał do pokoju chorej. Kobieta truchlała ze strachu przed otwarciem koperty. Bała się wysokich kosztów leczenia i była pewna, że nie starczy jej życia, aby je spłacić. W końcu wyjęła rachunek, a jej uwagę zwrócił odręczny dopisek na marginesie. Z niedowierzaniem czytała słowa: „Całkowicie opłacone kubkiem mleka. Podpisał dr Howard Kelly”.

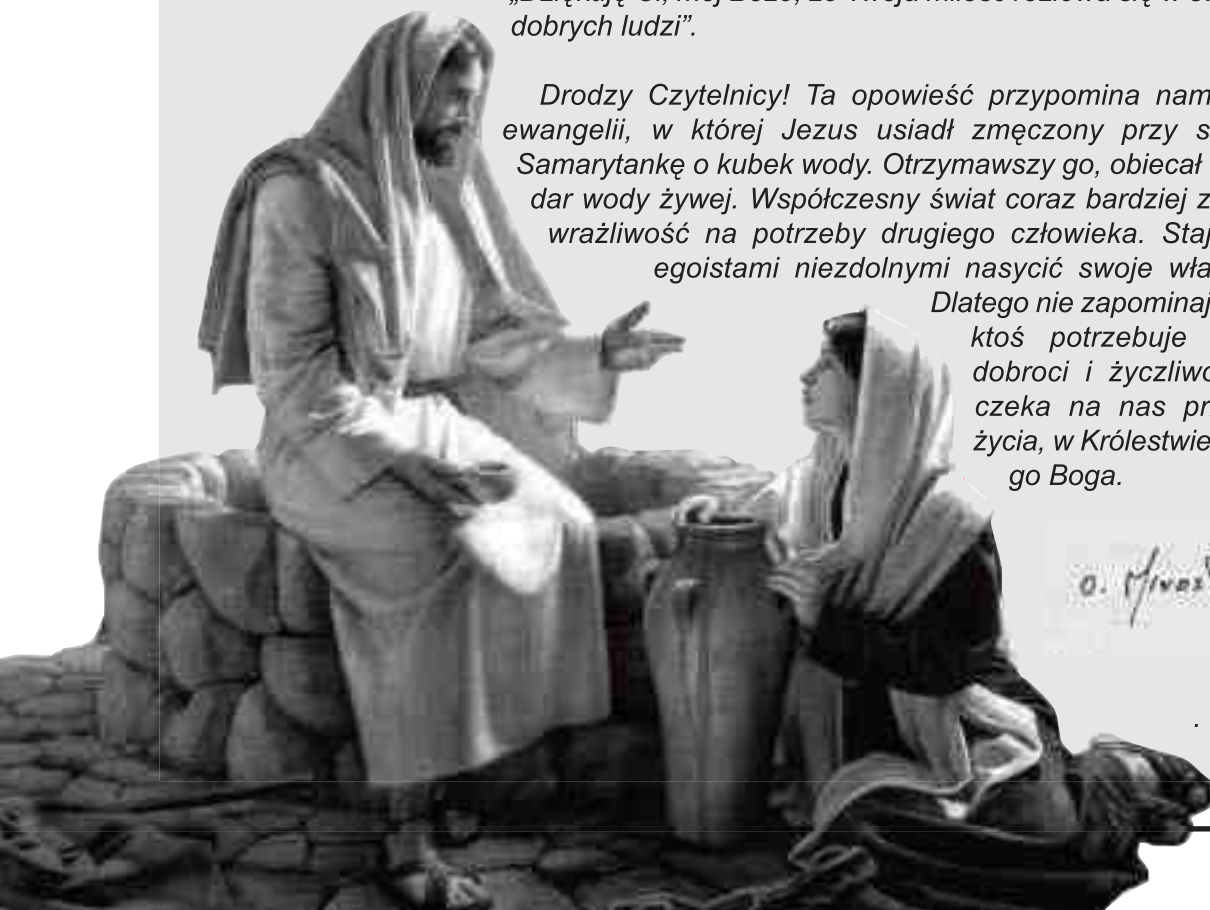
Łzy szczęścia spłynęły jej po policzkach, a serce przepełnione wdzięcznością unosiło do nieba słowa modlitwy:

„Dziękuję Ci, mój Boże, że Twoja miłość rozlewa się w świecie przez ręce dobrych ludzi”.

Drodzy Czytelnicy! Ta opowieść przypomina nam nieco scenę z ewangelii, w której Jezus usiadł zmęczony przy studni i poprosił Samarytankę o kubek wody. Otrzymałszy go, obiecał w zamian dać jej dar wody żywej. Współczesny świat coraz bardziej zagłusza w sobie wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka. Stajemy się często egoistami niezdolnymi nasycić swoje własne pragnienia.

Dlatego nie zapominajmy, że być może ktoś potrzebuje naszego gestu dobroci i życzliwości. A nagroda czeka na nas przy studni wody życia, w Królestwie naszego Dobrego Boga.

O. Hieronim Szarynec



Znacie maleńką dziewczynkę, która figlarnie chowa się pod stołem? Nie? Zatem czas ją poznać.

Przeminęło już wiele lat, podczas których rozpływałam się w marzeniach o tej dziewczynce. To były precudne marzenia. Wyglądała jak mały aniołek z kręconymi, jasnymi włosami, iskrzącymi czarnymi oczkami i roześmianą buzią. Patrząc na nią miało się wrażenie, że to słońce wschodzi po niebie w swych najpiękniejszych barwach. Mówiono mi czasem, że to tylko moje fantazje... Ależ nie! Dla mnie istniała ona naprawdę. Zawsze kiedy byłam smutna, stawiała przy mnie i uśmiechała się. Od razu znikał zły nastrój i przygnębienie.

Każdy z was może ją poznać. Po prostu zamknijcie oczy i wyobraźcie ją sobie. Czy już ją widzicie? Czyż nie odczuwacie miłego ciepła, kiedy się do was uśmiecha?

Posłuchajcie więc teraz historii tego ślicznego maleństwa. Nazwijmy ją naszą małą księżniczką.

Nasza mała księżniczka jest upragnionym dzieckiem dla mnie i mojego męża. Mamy już wprowadzić czwórkę wspaniałych synów, ale wciąż marzyliśmy chociaż o jednej księżniczce. Czy to aż takie dziwne?

Pewnego razu zaczęłam podejrzewać, że mogę być w ciąży. Zrobiłam sobie test ciążowy i stawiałam się dziwnie nerwowa. Spoglądałam na niego nawet pod światło, gdyż wydawało mi się, że widzę bardzo bladą drugą różową kreskę. Czy to prawda? A może to tylko moja wyobraźnia? Przez cały dzień, co pięć minut, zerkalam na test. Kreseczka nie zniknęła, ale była ledwo widoczna. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Byłam w ciąży czy nie?

Postanowiłam odczekać jeszcze jeden tydzień i powtórzyć test. Następnego poranka byłam jednak dalej niepokojna. Kolejny raz patrzyłam na test i cała rozkojarzona nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. W końcu nie wytrzymałam dłużej tego napięcia i pobiegłam do apteki kupić jeszcze jeden test. Czy to już oznaka szaleństwa?

Brakowało mi odwagi, by na niego spojrzeć. Co będzie, jeśli nie pojawi się na nim druga kreska? Przecież już zaczęłam się cieszyć na naszego dziusia. Położyłam test na biurku i



Opowieść o miłości, nadziei i rozstaniu

Nasza mała księżniczka

poszłam do kuchni. W głowie kotłowało mi się wiele różnych myśli. Pośród nich pojawiła się nagle nasza mała księżniczka i uśmiechając się do mnie powiedziała:

- „No idź już. Popatrz. Wszystko się zgadza. To jestem ja!”

Podenerwowana poszłam do sypialni i sięgnęłam po test. Mój Boże! Pojawiła się druga kreska i była o wiele bardziej wyraźna niż wczoraj. Nieco spokojniejsza usiadłam na łóżku i jesz-

cze długo wpatrywałam się w dowód cudu stworzenia – naprawdę byłam w ciąży!

Zrobiło mi się gorąco na sercu. Czy to oznacza, że spełnią się nasze marzenia?

Czułam jak po policzku spływają mi łzy. Byłam taka szczęśliwa. Od razu zadzwoniłam do mojego ginekologa i zapytałam, czy to możliwe. Odpowiedział, że prawdopodobnie tak, ale dla pewności umówił mnie nazajutrz na

wizytę.

Po południu pojawili się w domu wszyscy moi mężczyźni. Mąż spojrzał na mnie badawczo i zapytał z zaskoczeniem:

- „Stało się coś?”

Nie chciałam jeszcze nic mówić. Wolałam z tym odczekać do wizyty u lekarza. Ale wtem niespodziewanie padło kolejne pytanie:

- „Czy ty nie jesteś czasem w ciąży?”

Cóż miałam na to odpowiedzieć? To oczywiste, że nie mogłam zatrzymać tego tylko dla siebie. Przecież byłam taka szczęśliwa.

- „Zobaczmy, co powie jutro lekarz” - powiedział mój mąż uśmiechając się czule.

Musicie jeszcze wiedzieć, że mam już za sobą dwa poronienia i skomplikowaną ciążę pozamaciczną. Tak więc i teraz pozostawała odrobina strachu i niepewności.

Wreszcie nastał nowy dzień. Podenerwowana siedziałam w poczekalni. Niestety, nie było mojego lekarza. Zastępowała go jakaś młoda lekarka. Ale nie miałam cierpliwości, by czekać przez kolejny tydzień. Weszłam do gabinetu. Z podnieceniem opowiedziałam o swoich podejrzeniach. Rozpoczęło się badanie. W napięciu zerkałam na monitor ultrasonografu, w końcu z moim doświadczeniem wiedziałam, co trzeba zobaczyć. Jednak nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego. Czułam się rozczarowana, gdy wtem lekarka oznajmiła mi oschle, że wszystkie symptomy na to wskazują, ale jest jeszcze zbyt wcześnie, by cokolwiek zobaczyć.

- „Czyli jestem w ciąży?” - zapytałam.

- „Na dzień dzisiejszy tak. Ale nie mam pewności, czy zarodek zagnieździ się w odpowiednim miejscu” - usłyszałam w odpowiedzi.

Wielkie dzięki! To było naprawdę uroczne z jej strony. Rzekomo byłam w ciąży. A w sercu pojawił się nowy niepokój.

Wróciłam do domu z wyznaczonym terminem kolejnej wizyty. Znowu pozostał cały tydzień czekania, podczas którego bałam się jeszcze cieszyć. I wtedy po raz kolejny pokazała mi się nasza mała księżniczka z uśmiechniętą buzią. Wraz z nią, przynajmniej na krótką chwilę, zniknęły wszelkie

obawy i lęki.

Tydzień czekania zdawał się wiecznością. Aż wreszcie nadszedł ten dzień, gdy znowu siedziałam w poczekalni przed gabinetem. Niestety znowu ta sama szorstka lekarka...

- „Dostała pani okres?” - spytała nieczule.

W jednej chwili straciłam to cudowne uczucie pewności. Czyżby ona się czegoś spodziewała?

Nieśmiało zaprzeczyłam. Czekano mnie kolejne USG. Mogę przysiąc, że byłam jeszcze bardziej nerwowa niż poprzednio. Aż tu nagle zauważyłam maleńki pęcherzyk. Rozpłakałam się ze szczęścia. Niebożańko znalazło sobie drogę do swojego gniazda. Wszystko wyglądało nadzwyczaj dobrze. Nawet bezduszna lekarka wydawała mi się bardziej sympatyczną. Byłam mniej więcej w piątym, szóstym tygodniu... Jeszcze z przychodni zadzwoniłam do mojego męża w pracy.

- „Będziemy mieć naszą księżniczkę...” - szlochałam z radości.

Chyba wypada tutaj dodać, że z księcia cieszylibyśmy się tak samo mocno. Jednak oboje mieliśmy przecucie, że tym razem będzie to księżniczka.

Kiedy mąż wrócił z pracy, objął mnie i mocno przytulił. Byliśmy tacy szczęśliwi. Naučení przykrymi doświadczeniami, postanowiliśmy nie dzielić się z nikim tą radością wieścią dopóki na własne oczy nie zobaczymy bijącego serduszka. Lęk przed poronieniem rozdzierał nasze serca. Ale wtem znowu

ukazywała mi się nasza mała księżniczka i uspokajała mnie:

- „Tym razem wszystko będzie dobrze”.

I tak minął kolejny tydzień. Bacznie obserwowałam swój organizm. Ale wszystko było w najlepszym porządku. No może tylko z wyjątkiem tego, że ciągle czułam się zmęczona i odczuwałam okropne bóle piersi. Ale to przecież uroki tego odmiennego stanu?

Naszedł termin kolejnej wizyty. Może da się już zobaczyć bijące



serduszek. Dzięki Bogu w końcu wrócił mój lekarz. Podekscytowana wyjaśniłam mu, dlaczego zdecydowałam się na badania podczas jego nieobecności. Uśmiechnął się tylko i od razu sam chciał zobaczyć, co tam się dzieje. Dobrze wiedział jak bardzo chcieliśmy mieć jeszcze jedno dziecko.

Obserwowałam go niespokojnie. Był od zawsze moim lekarzem i przez te wszystkie lata nauczyłam się odczytywać mimikę jego twarzy. Ale tym razem nie wiedziałam, co myśleć. Czulałam się jak na torturach. Jego diagnoza była dla mnie naprawdę ważna. Przyszedł czas na USG. Było widać, że zarodek ślicznie urosł, ale mimo to lekarz nie potrafił w nim dostrzec niczego więcej niż małego punkciku. Czy to znaczy, że coś jest nie tak? Byłam nieco zdziwiona, że nie da się jeszcze zobaczyć serduszka. Lekarz wyjaśnił mi jednak, że potrzeba na to jeszcze jednego tygodnia, a na chwilę obecną wszystko wygląda wyśmienicie. To mnie uspokoiło. A więc jeszcze jeden tydzień czekania.

W międzyczasie przyzwyczajaliśmy się do tego, że w przyszłym roku będziemy już w siódmkę. Mój mąż rozpieszczał mnie, a ja dbałam o siebie bardziej niż podczas poprzednich ciąży. Musiałam być chyba w siódmym tygodniu i tak też się czułam – naprawdę brzemienna.

Powiadomiłam o tym mojego szefa w pracy. Powinien chyba wiedzieć, dlaczego nagle przestałam dźwigać ciężkie skrzynki. On też bardzo się ucieszył.

Niecierpliwie czekaliśmy na kolejne USG. Oby tylko wszystko było w porządku. Wyczekiwaliśmy dwunastego tygodnia, aby minęło największe ryzyko poronienia. Zostało jeszcze troszkę czasu, ale kolejny tydzień minął bez komplikacji i nasza księżniczka stawiała się coraz bardziej realna.

Podczas następnej wizyty w przychodni lekarz zauważył moje napięcie i od razu przystąpił do USG. O Boże! Ależ nasze dzieciątko urosło! Naprawdę widziałam naszą małą księżniczkę. Co prawda jeszcze bardzo, bardzo mała, ale ona tam była! Lekarz bardzo powoli przeprowadzał badanie i wtem... zobaczył malutki pulsujący punkcik – bijące serduszek. Byłam najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Teraz już wszystko będzie

dobrze. Byłam tego całkowicie pewna. Jak na skrzydłach wybiegłam z przychodni, zabierając ze sobą fotkę naszego maleństwa. Mój mąż cieszył się jak szalony.

Przy obiedzie siedzieliśmy za stołem jak zakochane nastolatki dyskretnie wymieniając ze sobą uśmieszki. Teraz chcieliśmy już o wszystkim powiedzieć naszym dzieciom. Czy się ucieszą?

- „Zgadnijcie co to jest?” – zapytał tajemniczo mój mąż kładąc na stole zdjęcie z USG.

- „To jest dzidziuś w brzuszku” – błyskawicznie odpowiedział nasz dziesięcioletni syn.

Zaniemówiliśmy zaskoczeni tak szybkim rozwikłaniem naszej zagadki.

- „A kto mógłby to być?” – zapytałśmy po chwili.

Nasi chłopcy stawiali na to, że to fotka naszego najmłodszego czteroletka. Odpowiedziałam i wtedy, żeby zwrócili uwagę na datę umieszczoną na zdjęciu. Trudno było powstrzymać śmiech, kiedy zobaczyliśmy osłupienie naszych pociech.

- „To jest dzidziuś u mamusi w brzuszku!” – krzyknął wreszcie rezolutny dziesięcioletek.

Spojrzelśmy na siebie uszczęśliwieni. Nasze dzieci naprawdę się cieszyły. W tej samej chwili zaczęły się przekomarzenia, jakie imię będzie nosić ich siostrzyczka. Nasza mała księżniczka stała się głównym tematem ich rozmów. Z radością zaczęli planować, jak urządzić kącik dla nowego maleństwa. Z uśmiechem musiałam ich temperować. Mówiłam wtedy:

- „Powoli. Mamy jeszcze dużo czasu, zanim urodzi się nasze dzieciątko. Teraz ma dopiero osiem tygodni”.

Co by nie mówić od tej chwili byliśmy już siedmioosobową szczęśliwą rodziną.

Byłam rozpieszczana ze wszystkich stron. Gdy tylko wpadłam na pomysł, żeby podnieść kosz z praniem, od razu znajdował się ktoś, by mnie wyręczyć. Ależ słodko! Cóż jeszcze mogłoby się wydarzyć? Nasza mała księżniczka, śmiejąc się, machała mi figlarnie rączką spod stołu.

A życie toczyło się dalej... Wszyscy cieszyli się razem z nami i nikt nie przypuszczał, że coś może pójść jeszcze nie tak. Mój Boże! Jakimi byliśmy

wtedy marzycielami.

Pięć dni przed kolejną wizytą u lekarza pojawiło się niewielkie krwawienie. Dosłownie słabiuteńkie. Ale od razu wpadłam w panikę, choć wiedziałam, że podczas ciąży może się coś takiego zdarzyć i nie musi niczego oznaczać. W końcu podczas wcześniejszych ciąży też to miewałam i wszystko było dobrze. Na wszelki wypadek od razu się położyłam. Na szczęście był właśnie weekend. Mój mąż nie pozwolił mi niczego robić.

- „Czy nie za wcześniej się cieszyliśmy?” – pytałam samą siebie.

Każda kolejna wizyta w toalecie przypominała horror. Co mnie tam spotka? I chociaż nic złego już się nie działo, to tak na wszelki wypadek zatelefonowałam do szpitala. Dyżurna lekarka uspokajała mnie. Powiedziała, że mam się oszczędzać, a w razie silniejszych bólów lub krwotoku – zgłosić się na oddział. Minęła sobota.

W niedzielny poranek zadzwoniłam na domowy telefon mojego lekarza. Niestety, nie zastałam go. Miał wrócić dopiero wieczorem. Postanowiliśmy czekać. Mój Boże, cóż to była za niedziela. Płakałam i śmiałam się na przemian... Prawdziwa huśtawka nastrojów. Około 16 odezwał się mój ginekolog. Opowiedziałam mu wszystko, co mi się przydarzyło. Uspokajał mnie. Zaproponował, że dla mojego lepszego samopoczucia może mnie zbadać o 19 w prywatnym gabinecie. Kamień spadł mi z serca.

Znowu byłam dobrej myśli. Nie może nas chyba po raz kolejny spotkać takie nieszczęście. Przecież tak bardzo czekamy na to dzieciątko.

Zrobiłam coś jeszcze, aby dopomóc losowi. Po raz pierwszy od wielu lat zaczęłam się modlić. Wtedy jeszcze wyraźniej widziałam prześliczny uś-



miech naszej małej księżniczki.

Zbliżyła się 19. Drżący i zaleknieni staliśmy z mężem przed gabinetem. Lekarz wpuścił nas do środka i od razu zabrał mnie na USG. Widział jak strasznie się bałam. Mój mąż stał tuż obok trzymając mnie za rękę. Czułam, że jest zdenerwowany tak samo jak ja.

Wkrótce zobaczyliśmy naszą księżniczkę. Poczułam ulgę. Lekarz chciał pokazać mojemu mężowi serduszek naszego maleństwa. Szukał go i szukał, a wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej posępny. Nie potrafił zlokalizować pulsującego punkcika. Przeżyliśmy szok. Nie daliśmy temu wiary i prosiliśmy, aby spróbował jeszcze raz. Więc znów zaczął niecierpliwie szukać, ale i tym razem niczego nie znalazł.

- „Tylko nie to!” – krzyczała moja rozdarta dusza – „Nasza księżniczka już tak cudownie urosła... No gdzie jest ta pulsująca kropczka?”

Nie potrafię opisać, co wtedy czułam. Kiedy wróciłam z przebieralni chciałam jeszcze o coś zapytać, ale nie potrafiłam wykrztusić z siebie słowa. Czułam jedynie, że na moje policzki spadają ciężkie łzy.

- „Nasza księżniczka nie może tak zwyczajnie od nas odejść. Nie może tak być” – pomyślałam – „Przecież już wszyscy tak bardzo ją pokochali”.

Lekarz był również głęboko poruszony. Ani trochę się tego nie spodziewał. Było widać, że jest mu naprawdę przykro. Ale trzeba było wziąć się w garść i postanowić, co

dalej. Zaproponował, aby we wtorek zrobić jeszcze jedno kontrolne badanie. Kto wie, być może nasze dzieciątko tylko jakoś dziwnie się ułożyło? Nie było jednak co sobie robić zbyt wielkich nadziei. Dla pewności miałam następnego dnia pójść na badanie krwi i skontrolować poziom HCG.

Wyszliśmy na powietrze. Staliśmy milcząco w ciemnościach niedzielnej nocy próbując sobie uzmysłwić, co się właściwie wydarzyło. Nie chcieliśmy w to wierzyć. Dlaczego znów nas to spotyka? Przecież jest tyle innych niechcianych dzieci, które przychodzą na świat! Jakimi byliśmy marzycielami.

Wieczór spędziliśmy w dziwnym nastroju. Nasz świat rozsypał się w kawałki. Ale wciąż tliła się jeszcze mała isierka nadziei.

Rozbita wewnętrznie poszłam następnego dnia do laboratorium. Minuty oczekiwania na badanie stawały się wiecznością. Co będzie, jeśli jednak lekarz się pomylił? Czy istnieje coś takiego jak cud? Znowu zaczęłam płakać. Na szczęście udało mi się wyciszyć przed przyjściem pielęgniarki. Nie chciałam, żeby ktoś wiedział, że płaczę. Tylko jeden człowiek wiedział, co przeżywam – mój mąż.

Wyniki mają być następnego dnia o 8 rano.

Wróciłam do domu i zaczęłam się gorliwie modlić. Prosiłam Boga, aby nazajutrz udało się odnaleźć to maleńkie, cudowne bijące serduszek. Byłam rozdarta. W głębi duszy starałam się już pożegnać z naszą księżniczką. To miało mi pomóc w zebraniu siły na jutrzejszy poranek. Powinnam być silna. Ale coż zrobić, kiedy ciągle żyła we mnie nadzieja?

Próbowaliśmy urządzić sobie miły wieczór i zagłuszyć nasze myśli, ale to nie takie proste. Najgorsze, że fizycznie czułam się rewelacyjnie. Żadnych bólów i dolegliwości. Czy to za mało, aby nadal żyć nadzieją? Zrobiło się już późno i próbowaliśmy zasnąć. We śnie przyszła do mnie nasza mała księżniczka. Czy to miało coś znaczyć?

Następnego dnia mój mąż musiał wcześniej rano jechać do pracy. Obiecał jednak przyjechać po mnie tuż przed 8 i razem ze mną pójść do lekarza. Wiedziałam, że cierpiał tak samo jak ja. I jeszcze ktoś cierpiał razem z nami - nasz czternastoletni syn. Nie mogliśmy tego przed nim zataić. Był już na to za duży. On też dzielił z nami na przemian nadzieję i smutek. Pozostałej trójce niczego nie mówiliśmy. Niech dowiedzą się dopiero wtedy, gdy już wszystko będzie całkowicie pewne. Już nigdy więcej nie powiemy o tym tak wcześnie!

Dochodziła godzina ósma. Byłam cała rozdygotana. Zanim wsiadłam do samochodu mój mąż objął mnie delikatnie i czule. Co nas za chwilę będzie czekać? Czy zdarzy się cud?

Minuty oczekiwania na lekarza dłużyły się w nieskończoność. Jak wypadło badanie krwi? Co pokaże USG? Zbliżał się kres naszej niepewności. Okazało się, że według wartości HCG wszystko jest nadal w porządku.

CZYLI JEDNAK CUD?

Znowu zaczęłam się modlić o to, aby podczas USG nasze dzieciątko pokazało się z jak najlepszej strony.

- „Panie Boże, proszę!!!” - błagałam.

A chwilę później... w oczy zajaśniała mi mroczna czeluść rozpacz. Brak uderzeń serduszka!

Teraz postanowiłam ostatecznie pożegnać się z moim marzeniem.

Ustaliliśmy, że w środę zgłoszę się do szpitala, by usunąć martwe maleństwo. Chciałam to mieć już za sobą.



Lekarz postanowił jednak jeszcze raz zrobić badanie poziomu HCG, abyśmy mieli 120 procent pewności. Wiedział, że jest to dla nas szalenie ważne. Wyjaśnił nam przy tym, że wartość może jeszcze minimalnie się podnieść, aczkolwiek powinna teraz stopniowo spadać. To będzie pewność absolutna.

Od razu pojechaliśmy do laboratorium. Byłam jak w amoku. Nie wiedziałam, co myśleć. Niby przestałam już wierzyć... A jednak coś kazało mi nadal mieć nadzieję. Po badaniu mój mąż wrócił do pracy, a ja zostałam sama w domu. Sama z moim dzieciątkiem, z moimi nadziejami i lękami. Próbowałam poukładać sobie jakoś dzień, ale nic mi nie wychodziło. Pożegnałam się z naszym marzeniem i próbowałam zrozumieć dlaczego? Tłumaczyłam sobie, że być może to dzieciątko urodziłoby się chore i to nawet lepiej, że spotkało je to już teraz... Jakże męcząca jest wewnętrzna walka pomiędzy uczuciami i rozsądkiem...

Nikt wokół mnie nie widział mojego prawdziwego bólu. Nikt, poza moim mężem i nikim oprócz naszej małej księżniczki, która figlarnie machała mi rączką spod stołu. Wszystko ma jakieś przeznaczenie, ale potrzeba naprawdę dużo czasu, aby to pojąć.

Czas oczekiwania na wyniki znowu się dłużał. Miały być gotowe na 12 i wciąż ich nie było. Dlaczego? Przecież nam obiecali!

Wreszcie o 13.30 zadzwonił telefon. Jeszcze nigdy tak szybko nie podbiegłam do słuchawki. Miałam dobre przeczucie. To był mój lekarz. Przekazał mi wiadomość, przez którą zaniepokojony, widząc jak na przemian śmieję się i płaczę. Poziom HCG prawidłowo wzrastał. Trzeba odwołać zabieg. W takim przypadku to zbyt ryzykowne. Nadal istnieje minimalna nadzieja.

Czy potraficie sobie wyobrazić, co się ze mną działo? Już się pożegnałam, a może lepiej zabrzmi, że przynajmniej próbowałam się pożegnać. A teraz to! Co o tym myśleć? Cieszyć się czy płakać?

Postanowiliśmy nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. W czwartek miałam znów pójść na ponowne badanie krwi. Gdyby wartość HCG nadal wzrastała trzeba będzie powtórzyć USG, bo coś

tak dziwnego się nie zdarza.

Znowu pojawiła się wiara w cud. Czy to aż takie nienormalne? Przekonywaliśmy wprawdzie samych siebie, że nie warto sobie robić nadziei, że nasze maleństwo nie żyje. Ale czy można wygrać walkę z niepokornymi uczuciami, które ogrzewają serce jak promyki porannego słońca?

Kolejnych dwóch dni nie jestem w stanie opisać. Przechodziliśmy przez istne piekło. Czy nasze maleństwo żyje czy też nie? Byliśmy na skraju wyczerpania nerwowego. Chcieliśmy, aby już był czwartek i aby był wyrok - obojętnie jaki. Byłe w końcu wiedzieć, co się dzieje.

Nie wychodziłam z domu. Nie chciałam się nikomu pokazywać na oczy. Godzinami siedziałam przed komputerem wyszukując w Internecie podobnych przypadków. W niczym mi to jednak nie pomogło, gdyż znajdowałam zarówno historie ze szczęśliwym zakończeniem, jak i te bez happy endu... Przy okazji wyszperałam coś więcej o wartościach HCG. Wiedziałam już jakie liczby powinny pojawić się podczas czwartkowego badania, jeśli miałyby być wszystko w porządku.

Nastał nasz sądny dzień i zamierzalam sama pójść do laboratorium. Poza zszarpanymi nerwami nic mi przecież nie dolegało. Ale właśnie one okazały się najgorsze. Rozsypałam się. Zadzwoniłam do firmy po męża. Nie chciałam i nie mogłam zostać sama. Przyjechał natychmiast. Wziął sobie wolne popołudnie. Nie chciał, abym samotnie czekała na wyniki. Mój kochany mąż. Najlepszy na świecie!

A więc do przychodni. Na podstawie wcześniejszych wyników obliczałam jak wysokie powinny być dzisiejsze wartości. Czy to już obłąd? Może i tak, ale cóż na to poradzić, jeśli w sercu tli się jeszcze isierka nadziei?

Po pobraniu krwi postanowiliśmy pochodzić po mieście. Czekając na wyniki chcieliśmy jakoś zabić czas. Około południa wykręciłam numer... To była moja chwila prawdy. Ostatnie HCG było na poziomie 22000. Teraz powinno przynajmniej przekroczyć 30000. Wyniki były gotowe. Usłyszałam liczbę 22187.

To był ostateczny werdykt:
KONIEC NADZIEI!

Byliśmy bezradni i bezbronni. Usiedliśmy obok siebie i płakaliśmy. Może zabrzmi to okrutnie, ale mimo wszystko byliśmy szczęśliwi, że skończyły się nasze potworne tortury. Kolejnego tygodnia niepewności już byśmy nie wytrzymali.

Nasza mała księżniczka zdecydowała, że nie chce już dłużej z nami pozostać.

Jeszcze tego samego dnia umówiłam się na zabieg. Inaczej nie potrafiłabym się naprawdę pożegnać.

Teraz musieliśmy powiedzieć o wszystkim naszej pozostałej trójce. Opowiedziałam im o gwiazdach na niebie.

- "I uważajcie teraz dobrze" - mówiłam - "Ta gwiazda, która świeci najjaśniej jest naszą gwiazdeczką. I ona czuwa nad naszą księżniczką."

Nasze maleństwa uwierzyły. Już więcej nie płakały...

Z nadzieją spoglądały w niebo.

Już jakiś czas minął od zabiegu. Dziś po raz pierwszy zostałam sama w domu. Znowu wraca do mnie smutek. Nikomu nie życzę, aby przechodził przez to samo piekło co my. Ale jeśli tak się stanie...

... Nie zdręczajcie się. Pożegnajcie się! Nie zapominajcie przy tym tych cudownych i szczęśliwych dni.

Ona była częścią nas i zawsze nią pozostanie. Jest naszą księżniczką i bardzo ją kochamy.

Nie chcemy cofać wskazówek zegara. Przez kilka tygodni byliśmy szczęśliwi z naszym dzieciątkiem i te chwile są naprawdę ważne.

Nasza mała księżniczko! Dziękujemy, że byłaś z nami. Przyносиłaś nam radość i pomagałaś zrozumieć, jak bardzo się kochamy jako rodzina. Uświadomiłaś nam, że nawet po 15 latach małżeństwa nadal jesteśmy blisko siebie i chcemy się o siebie troszczyć. Pokazałaś nam, że jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Obudziłaś w nas wiarę w Boga i doświadczenie ukojenia na modlitwie. Jesteś naszą księżniczką i pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci.

Dziękujemy ci, że byłaś razem z nami!

tłumaczenie o. M. Sz wajnoch



Jak dobrze, że jesteście z nami...

Los sprawił, że miesiąc miałam okazję być blisko kamiliańskiej posługi wśród chorych w szpitalu w Tarnowskich Górach. Postanowiłam napisać parę słów do Waszego pisma KAMILIANIE, bo czułam taką potrzebę podzielenia się tym, co widziałam i czego osobiście doświadczałam.

Byłam przy łóżku chorej kuzynki Asi, która po rocznym zmaganiu się z chorobą nowotworową odeszła do wieczności. A jeszcze miesiąc temu cieszyliśmy się jej obecnością pośród nas, a niespełna rok temu nikt by nie przypuszczał, że tak szybko będziemy ją odprowadzać do wieczności. Mogliśmy rozmawiać, cieszyć się obecnością, wymieniać przyjazne gesty. Jej sparaliżowany i chory od 11 lat ojciec miał w niej odpowiedzialną i kochającą opiekunkę, a jej dorastająca córka miała troskliwą matkę. Wszyscy byli z nią w chorobie, martwili o stan jej zdrowia. Był przy niej również kapłan,

kamilianin, **o. Mariusz Kwiatkowski**. W jednej chwili zabrakło nam tych możliwości. Wszystko skończyło się wraz z ostatnim uderzeniem serca. Nic człowieka w życiu nie zaskakuje tak boleśnie jak choroba nie dająca nadziei i śmierć. Na pewno wielu z nas jeszcze ma w uszach jej głos, a przed oczyma obraz jej twarzy. I ten głos, i ta twarz należą już do przeszłości. To jest ta trudna prawda o umieraniu. Jednego dnia człowiek jest, a drugiego już go nie ma. Zawsze pozostanie jednak w sercach tych, którzy ją kochali i którym była bliska.

Dzięki o. Mariuszowi zmarła Joanna była przygotowana do drogi, otrzymała sakrament namaszczenia chorych, a będąc w szpitalu regularnie przyjmowała Eucharystię. Modlitwa dodawała jej otuchy, rodziły się i w jej sercu pytania, jak to będzie tam w wieczności i te pytania zadawała tym, którzy byli blisko niej w czasie ostatnich dni. Mod-

litwa, która często gościła w jej sercu, zapewniła jej łączność z Bogiem, trwanie w kontakcie z Nim, a więc i otwarcie na Jego przyjęcie. W szpitalu poprosiła o książeczkę do nabożeństwa, a jej modlitwa z dnia na dzień stawała się oznaką wewnętrznej gotowości do przyjęcia Pana. Dwa dni przed śmiercią prosiła o przywołanie kapłana, świadomie mówiła, że odchodzi, że potrzebuje wsparcia duchowego, bo to trudne doświadczenie.

DUCHOWE APOSTOLSTWO LIPIEC 2012 ROKU

Tak się złożyło, że codziennie byłam w szpitalu będąc blisko ciężko chorej kuzynki Asi. Byłam też świadkiem pracy Ojców Kamilianów, którzy otrzymali dar pomagania chorym, często takim, którzy żegnali się z doczesnym życiem. Byłam świadkiem dobra, jakim poprzez posługę duszpasterską ojciec Mariusz Kwiatkowski obdarzał chorych leżących na oddziale paliatywnym, odślaniał zagubione ludzkie wnętrza, wśród ciężko chorych był oczekiwanym gościem. Byli to chorzy przybici nieszczęściem, chorobą, która ich dopadła i wyniszczała. Nie było tam psychologów, psychiatrów, terapeutów, choć tak często dziś słyszymy o ich roli. Był za ktoś ważniejszy - kapłan, znakomicie zajmujący się terapią dusz. Kapłan, który zawsze miał czas na modlitwę, na rozmowę, zatroskany o sprawy duchowe chorych leżących na oddziale.

Byłam świadkiem, jak chorzy przełamywali się, jak prosili o rozmowę, o spowiedź, jak prosili o wspólną modlitwę. To piękne świadectwo wiary zaangażowanego kapłana owocowało codziennie uzdrowieniami dusz. Nowoczesny i konsumpcyjny tryb życia skutecznie wykasowuje z sumień troskę o ludzi chorych w podeszłym wieku, najczęściej umieszczanych w różnego rodzaju domach tzw. spokojnej starości, gdzie jest wszelki dostatek, zapewniona socjalna opieka, nawet luksus, ale nie ma tych najbliższych osób, którym poświęciło się swoje życie i własne zdrowie, nie ma miłości. Jakże wyraźnie w ich oczach odbija się prośba o pomoc, o miłość, o obecność przy sobie drugiej, życzliwej osoby.

Często taką osobą jest kapłan. Duszpasterska posługa kapłańska

wśród schorowanych ludzi, posługa, która w pełni, realizowana z ofiarnością jest wyjątkowa, bo daje całego siebie na służbę i pomoc innym. Kapłan jest szczególnie ważny dla chorego człowieka, którego cierpienie duchowe, cierpienie świadomości popełnionych w życiu win, a wreszcie cierpienie osamotnienia jest często wielokrotnie większe od cierpienia fizycznego.

Pacjenci otrzymywali od O. Mariusza codziennie oprócz sakramentów, wsparcie duchowe, rozmowę, jego obecność. Jestem przekonana, że kamiliańskiej posługi kapłańskiej potrzebują chorzy oczekujący spowiedzi, sakramentów świętych lub ostatniego duchowego wsparcia przed ewentualną śmiercią. I chorzy w jednakowym stopniu otrzymywali codzienny dar rozmowy o chorobie i cierpieniu, jak i o śmierci i życiu wiecznym, o wierze, o przeżywaniu choroby. Otrzymywali wsparcie, zrozumienie, podtrzymanie na duchu. Otrzymywali sakrament chorych jako ostatnie namaszczenie, który większości chorym niósł ulgę w chorobie oraz pomoc w przeżywaniu fizycznym i psychicznym choroby.

Ojciec Kamilianin zawsze witał i żegnał pacjentów pozdrowieniem chrześcijańskim. Codziennie był, codziennie odwiedzał chorych, nie mówił tylko o Bogu, ale przede wszystkim umiał słuchać. Wspierał osoby oczekujące pomocy, był osiągalny w każdej chwili, umiał poświęcić chociaż małą chwilę na rozmowę z chorymi i tymi, którzy byli przy nich w chorobie. Był osobą rozumiejącą potrzeby drugiego człowieka, posiadał takie cechy, jak pogoda ducha, dyskrecja, ciepło i wyrozumiałość. Dla pacjentów jakże ważny był również jego uśmiech oraz łatwe nawiązywanie kontaktów.

Rola kapłana jest bardzo ważna i niezbędna w procesie terapeutycznym. Chory człowiek potrzebuje duchowego wsparcia, bez względu na to, czy jest wierzący czy niewierzący, protestant czy prawosławny. Ofiarowane dobro wysłuchania kogoś, obdzielenia dobrym słowem, uśmiechem lub szczerą rozmową zawsze miało i ma wymiar uniwersalny i głęboko ludzki i przez to prawdziwie chrześcijański.

Kapłan w szpitalu to nie tylko posługa dla chorych, ale również możliwość wzajemnego wspierania się i to zarówno kapłana, jak i tych czuwających

przy łóżkach szpitalnych u boku najbliższych. Być blisko chorego to powołanie i wielka odpowiedzialność. Gdy chory po chrześcijańsku i dojrzałe przeżywa swe cierpienie i gdy świadomie przyjmuje na siebie obowiązek wynikający ze swej trudnej sytuacji, może dać siebie samego, swoje cierpienie i modlitwę za tych, którzy mu ten dar uzdrowienia duchowego przynoszą: za kapłanów i lekarzy.

Naprawdę, my również możemy chorych prosić o wiele łask i często wiele tym chorym zawdzięczamy. Wielkość ich duchowego apostołstwa może ocenić jedynie Bóg i ci, którzy na co dzień doświadczają tej pomocy. Dlatego w swoich kontaktach z chorymi pamiętajmy o niezwykle ważnej rze-

czy, by w tej określonej chwili rozmowy z chorym, ten czas poświęcić tylko dla niego i wsłuchać się w jego słowa. A to przecież nieraz takie trudne, bo każdy z nas mówi we właściwy sobie sposób. Jakże często odkrywamy prawdziwe znaczenie słów człowieka dopiero po jego śmierci. Wsłuchać się w jego gesty, w jego twarz, ręce, całe ciało, które czasami jest bardziej czytelne niż słowa. Wsłuchać się także w to, czego nie mówi, o czym za wszelką cenę nie chce powiedzieć, co boi się nazwać, przed czym ucieka.

Aby dobrze wsłuchać się w drugiego człowieka, trzeba oderwać się od swoich spraw i poświęcić mu swoją całą uwagę. Często jest to niełatwe. Jak zapomnieć o sobie, o innych sprawach, o kłopotach i radościach, którymi przepełnione jest serce i umysł? Znaleźć czas, by wsłuchać się w drugiego człowieka, zwyczajnie po ludzku mu towarzyszyć w jego przeżywaniu cierpienia i choroby. Autentycznie podarować choremu, nad którym się pochylamy, również swój uśmiech i pogodę ducha, która rodzi się w momencie jej darowania. Ludzie na szpitalnych łóżkach to cenia, obserwują innych przy wejściu na salę, z jakim wyrazem twarzy do nich się zbliżamy. Potrafią długo pamiętać każdy przyjazny gest, dobre słowo, zwrócenie się do nich z serdecznością.

Bogu dzięki, że mamy kapłanów tak zaangażowanych w służbę drugiemu człowiekowi, którzy będąc narzędziami w rękę Boga wspierają personel medyczny w ich odpowiedzialności za życie i zdrowie drugiego człowieka.

Czas, jaki otrzymujemy, by cieszyć się życiem na ziemi, jest darem i tajemnicą, bo nikt z nas nie wybrał sobie momentu historii, w którym przyszło mu zaistnieć w tym świecie i nikt z nas nie zna dnia, w którym to ziemskie istnienie zgaśnie...

To, co mamy, to życie, to ten czas pomiędzy narodzinami a śmiercią. I tak naprawdę całe życie uczymy się zagospodarowywać ten czas w taki sposób, aby się nie zawstydzić przed Bogiem w tej godzinie, kiedy wezwie nas do siebie.

Dziękuję za ten autentyczny dar Nowej Ewangelizacji.

D. Mańczak



**O. Mariusz Kwiatkowski
jest kamiliańskim
neoprezbiterem.**

**W lipcu posługiwał jako kapłan
w naszym zakonnym szpitalu
w Tarnowskich Górach.
Obecnie pełni funkcję kapłana
w DPS w Pilchowicach.**

„Człowiek nie może żyć bez miłości. Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, jego życie jest pozbawione sensu, jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej żywego uczestnictwa”.

Jan Paweł II

Te właśnie słowa, słowa o miłości i pełne miłości do Boga, przekazują nam nasi kapelani **o. Marek Mańka** i **o. Tomasz Bajda**, podczas mszy świętych i nabożeństw w kaplicy pw. św. Kamila w Instytucie CZMP w Łodzi.

A wszystko zaczęło się 5 lat temu, 15 września 2007 roku, kiedy pracę duszpasterską w naszej kaplicy rozpoczęli Ojcowie Kamilianie. I tak jest do dziś, i mamy nadzieję, że tak będzie zawsze.

Nasi Ojcowie stworzyli nam w kaplicy drugi dom. Dom pełen miłości Boga, do którego zawsze możemy przyjść i jesteśmy tu mile widziani. Tu nie trzeba prosić o miłość, gdyż Pan Bóg daje nam ją bezinteresownie. Wysłuchuje naszych modlitw i prośb, przynosi pocieszenie.

Msze święte i nabożeństwa celebrowane przez o. Marka i o. Tomasza, nauki przez Nich głoszone są pełne wiary, miłości i nadziei, poezji, muzyki i śpiewu, poprzez który również modlimy się do Pana Boga i Matki Bożej.

Atmosfera, jaką tworzą Ojcowie Kamilianie czyni środowisko przyjazne drugiemu człowiekowi. Każdy może przyjść do kaplicy pomodlić się, porozmawiać z Panem Bogiem, zostawić swoje radości, troski, cierpienia i wyjść z nową nadzieją na lepsze jutro.

Ojcowie swoją postawą, zachowaniem, wielkim umiłowaniem Pana Boga i Jego Matki, pokazują nam, jak wielka może być miłość, którą każdy z nas posiada i powinien dzielić się nią z najbliższymi ludźmi, gdyż miłość mnoży się, jeśli się ją dzieli.

Miłość do Pana Boga to podstawa naszego życia, to wielki dar, który powinniśmy pielęgnować, pamiętając, że „Miłość Pana Boga do swojego ludu,



O. Marek Mańka i O. Tomasz Bajda od 2007 roku posługują w Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi

Miłość Chrystusa do Kościoła jest wieczna i nigdy się nie kończy” (JP II).

Tą właśnie wielką miłość słyszymy w słowach kierowanych do nas przez naszych drogich kapelanów. Są to treści przemyślane i przygotowane tak, aby trafiły do każdego z nas.

Nasi kochani Ojcowie nigdy nie odmawiają nam pomocy, rozmowy, rady. Zawsze są gotowi nas wysłuchać, przynieść słowa otuchy i pocieszenia w trudnych chwilach, których tak wiele jest ich w oddziałach szpitalnych. Pełnią swoją posługę dla chorych i wiernych uczęszczających do kaplicy z wielkim oddaniem i miłością do drugiego człowieka.

Do kaplicy przychodzimy nie dlatego, że tak wypada, że musimy, bo tak nas nauczono, ale z potrzeby serca, aby słyszeć, że Pan Bóg nas kocha, ale i potrzebuje naszej miłości. Zdawałoby się, że mówi: zatrzymaj się na chwilę, nie spiesz się, posłuchaj mnie, zastanów się nad sobą, daj mi trochę twojej miłości, twojego czasu...

Miłość Pana Boga jest wielka, bo przecież Bóg ogarnia nią cały świat, a nasi Ojcowie Kamilianie ogarniają tą miłością wszystkich, którzy przychodzą do naszej kaplicy, a szczególnie chorych i cierpiących, i przekazują nam tą wielką wiarę w Pana Boga i Jego miłość do nas.

Takie wielkie pokłady miłości ma każdy z nas, ale nie zawsze potrafi

nimi obdarowywać drugiego człowieka, a słowa Ojca Świętego Jana Pawła II „otwórzcie drzwi Chrystusowi”, które często słyszymy w naszej kaplicy, skłaniają nas właśnie do otwarcia naszych serc na miłość Boga i ludzi.

Dlatego my, wszyscy wierni, którzy uczęszczamy do kaplicy w CZMP, dziękujemy Panu Bogu i Jego Matce za naszych wspaniałych kapelanów: o. Marka i o. Tomasza, życząc Im dużo zdrowia, szczęścia, radości i miłości od Boga i ludzi. Aby każdy dzień przynosił Im radość z posługiwania chorym, a Matka Boża wspierała Ich w pracy dla drugiego człowieka.

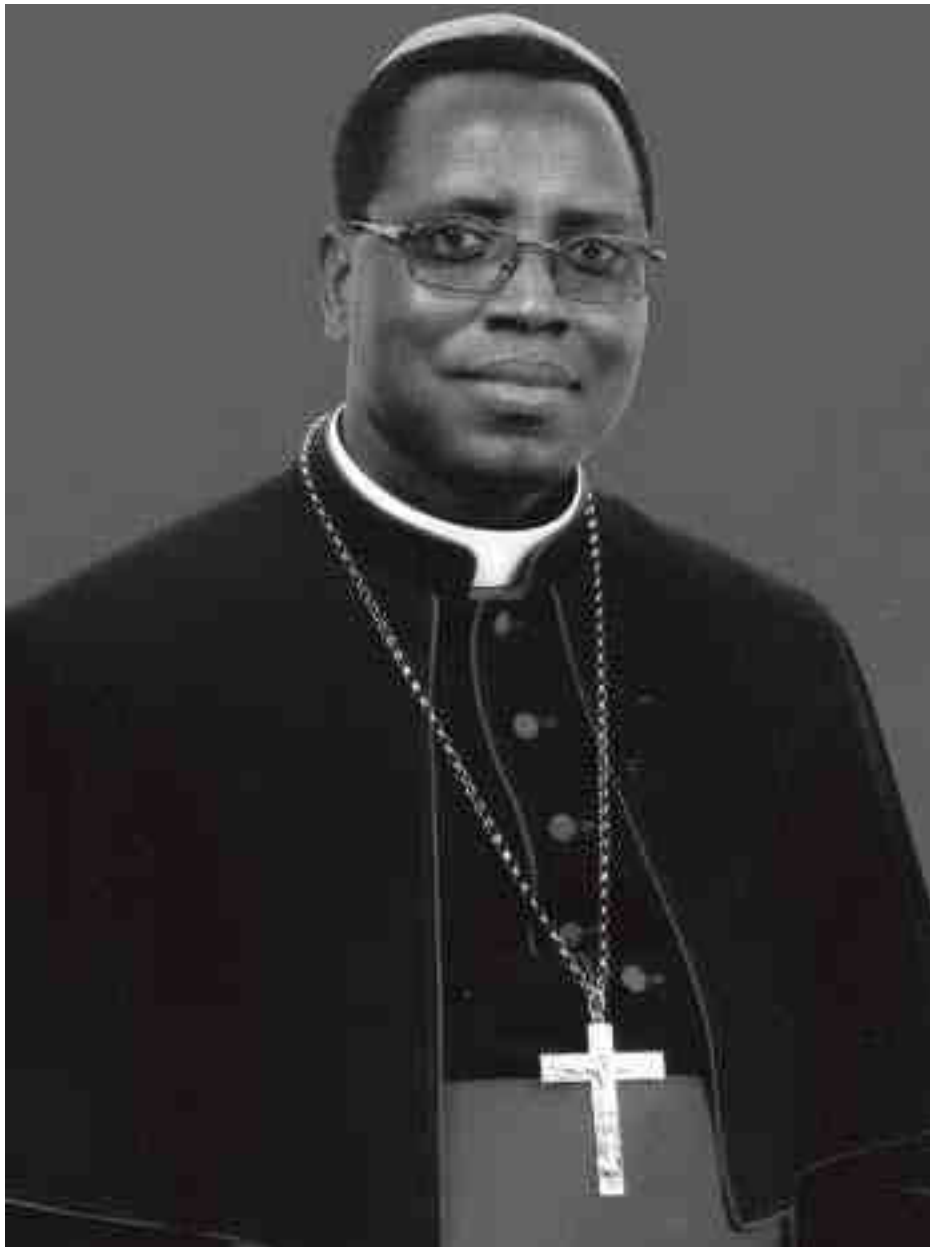
8 września 2012 roku minęła 25. rocznica złożenia ślubów wieczystych przez o. Marka Mańkę, któremu z tej okazji życzymy niewyczerpanych sił (na kolejne jubileusze) na trudnej drodze duszpasterstwa zakonnego, skierowanego na potrzeby chorych i potrzebujących.

Ojcie Marku, z głębi naszych serc dziękujemy, najpiękniej jak tylko potrafimy, za cudowne Twoje homilie ... niepowtarzalne i niezapomniane.

Dziękujemy za to, że Jesteś.

WDZIĘCZNI WIERNI

Łódź, 7 września 2012 roku



Kamiliański biskup

11 lutego 2012 roku papież Benedykt XVI utworzył nową diecezję Tenkodogo w Burkina Faso. Pierwszym biskupem nowopowstałej diecezji został mianowany kamiliański zakonnik, o. Prosper Kontiebo. Tym samym jest on piątym Kamilianinem w historii zgromadzenia Posługujących Chorym, którzy otrzymali godność biskupią. Ostatnim z nich był żyjący w XIX wieku o. Rafaele Danise.

Początki kamiliańskiej obecności w zachodniej Afryce sięgają roku 1966, kiedy to zakonnicy z prowincji rzymskiej przybyli do stolicy kraju nazywanego się wtenczas Górną Woltą. W 1967 roku założyli oni w Ouagadougou duży szpital oraz utworzyli parafię pod wezwaniem świę-

tego Kamila. Od samego początku Kamilianie cieszyli się licznymi powołaniami spośród tubylczej ludności. W związku z tym w 1972 roku dla kandydatów do życia zakonnego utworzono juwenat i nowicjat. Znaczna ilość rdzennych zakonników doprowadziła do uznania Burkiny Faso niezależną



**W herbie biskupim
o. Prosper Kontiebo
zamieścił słowa
z Pierwszego Listu św. Jana
BÓG JEST MIŁOŚCIĄ**

**Zawołanie to jest
szczególnie bliskie
kamiliańskiemu
charyzmatowi.**

administracyjnie wiceprowincją Zakonu. Spośród tamtejszych Kamilianów już dwóch zasiadało w najwyższych władzach zakonnych w Rzymie. O. Laurent Zoungrana był pierwszym czarnoskórym zakonnikiem w Konsulacie Generalnej. W poprzednim zarządzie konsulatorem był jego rodak, o. Jacques Simporé, wybitny biolog i genetyk, który obecnie kieruje biomolekularną placówką badawczą dla zwalczania choroby AIDS.

Burkina Faso jako wiceprowincja Zakonu Posługujących Chorym ciągle się rozwija i staje się coraz bardziej liczebna. Na chwilę obecną należy do niej 51 profesorów wieczystych, 20 profesorów czasowych, 5 nowicjuszy, 52 postulantów i 97 seminarzystów. Do ich grona należy także nowy biskup ordynariusz diecezji Tenkodogo o. Prosper Kontiebo.

Ojciec Prosper pochodzi z Burkiny Faso. Urodził się 25 czerwca 1960 roku w Bossa. Jego rodzicami byli Joseph Sambo i Albertina Ouedraogo. Nowy biskup ukończył szkołę podstawową w Zagtoui. W młodości kształcił



Wspólnota kamiliańska z kandydatami do życia zakonnego.

się także w niższym seminarium zakonnu Kamilianów. Do zgromadzenia Posługujących Chorym wstąpił w 1983 roku. Po ukończeniu studiów seminaryjnych, w lipcu 1990 roku przyjął święcenia presbiteratu. Zaraz po święceniach był nauczycielem i ekonomem w zakonnym scholastykacie „Saint Camille”. W tym samym czasie uczęszczał na zajęcia w Akademii Zdrowia Publicznego, gdzie w 1993 roku uzyskał dyplom pielęgniarstwa.

Od 1993 roku przez dwa lata pracował jako wikariusz parafii św. Kamila w Ouagadougou. Od 1995 roku pełnił w swojej afrykańskiej prowincji funkcję mistrza nowicjatu oraz przełożonego kamiliańskiego seminarium. W 2001 roku powrócił do pracy duszpasterskiej i przez 10 kolejnych lat był proboszczem parafii w Ouagadougou. Od 2010 roku stał na czele wiceprowincji Burkina Faso. 11 lutego 2012 roku papież Benedykt XVI mianował go biskupem dla nowopowstałej diecezji Tenkodogo. Jego konsekracja odbyła się 2 czerwca 2012 roku. Nowym kościołem katedralnym biskupa Prospera stała się dotychczasowa świątynia parafialna pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Królowej.

Powierzchnia diecezji, którą kieruje kamiliański biskup wynosi ok. 11000 km kw., co można porównać do obszaru województwa świętokrzyskiego. Według danych zamieszczonych na portalu *catholic-hierarchy.org* na terenie diecezji zamieszkuje ok. 954 tysiące osób, z czego ok. 138 tysięcy jest katolikami, co stanowi 14,5 procent wyznawców wszystkich obecnych

tam wyznań. Wśród religii najliczniejszą grupę stanowią muzułmanie oraz animistyczne kulty plemienne. W nowej diecezji posługuje 50 księży, 26 sióstr zakonnych i ponad 200 świeckich katechetów.

Nowemu biskupowi życzymy mocy Ducha Świętego w ożywianiu wiary pośród nielicznej grupy katolików w Burkina Faso. ■

opracował
o. M. Sz wajnoch



Burkina Faso (dawniej Górna Wolta) – państwo w Afryce Zachodniej bez dostępu do morza. Burkina Faso od XIX wieku była kolonią francuską. Niepodległość uzyskała w 1960 roku jako republika Górnej Wolty. W 1984 roku zmieniono nazwę kraju na Burkina Faso, co można przetłumaczyć jako *Ziemia Sprawiedliwych*.

Jest to bardzo biedny kraj, którego źródłem dochodu jest przede wszystkim rolnictwo. Głównymi uprawami są: sorgo, proso, kukurydza, orzeszki ziemne, ryż i bawełna.

Lokalne rzemiosło polega głównie na wyplataniu koszyków, ceramice, barwieniu tkanin i wykonywaniu takich przedmiotów jak: figurki, instrumenty muzyczne i maski.

Średnia długość życia w tym afrykańskim państwie wynosi poniżej 50 lat! Jest to jedna z najniższych na świecie średnich długości życia. Mężczyźni żyją średnio 42 lata, a kobiety 45 lat.

Wskaźnik analfabetyzmu wynosi tam około 72 procent i jest najwyższy na świecie.

MODLITWA CHORYCH ZA MISJE

Boże, Ojcze nasz,
w ciężkim położeniu i chorobie
daj nam siłę, abyśmy nasze cierpienia
i naszą niemoc zjednoczyli
z krzyżem Chrystusa. Pełni zaufania
prosimy Ciebie: nie pozwól nam
zapomnieć, że jesteś przy nas.
Spraw, abyśmy nie zwątpili, gdy długo
będziemy czekać na Twoją odpowiedź.

Przez naszą duchową więź
z misjonarkami i misjonarzami daj siłę
i pociechę Twojej bliskości tym
wszystkim, którzy w chorobie nie
znajdują już ludzkiej pomocy.
Spraw, abyśmy przez nasze cierpienia
wyprosili umocnienie w wierze
i miłości ludziom na całym świecie.
Powołaj wielu młodych ze wszystkich
narodów do misjonarskiej służby.
Najlepszy Ojcze, ufamy, że w Twoim
królestwie wszystkie łyzy
zostaną otarte, nie będzie już śmierci,
choroby ani żadnego cierpienia...

W naszej drodze do Ciebie,
bądź z nami.

Amen.





Wypełnię me śluby dla Pana

8 września br. był bardzo uroczystym dniem w życiu wspólnoty kamiliańskiej. Tego dnia bowiem, w kościele św. Józefa Robotnika w Taciszowie podczas Mszy św. sprawowanej przez Prowincjała, o. Arkadiusza Nowaka, w asyście wielu księży diecezjalnych i zakonnych, **kl. Wojciech Mojecki** złożył śluby wieczyste. Swoją pierwszą profesję na okres roku złożyli **Piotr Karaś** z parafii św. Jadwigi Śląskiej w Tychach i **Olgiard Staniczek** z parafii św. Antoniego w Syryni koło Wodzisławia Śląskiego. Oprócz nich czterech zakonników odnawiało śluby czasowe.

Neoprofesi po złożeniu pierwszych ślubów zakonnych, przywdziali nasz habit z czerwonym krzyżem na piersi jako znak przynależności do Zakonu. Ojciec Prowincjał wręczył im także Konstytucję i Zarządzenia Generalne Zakonu Posługujących Chorym. Natomiast kleryk Wojciech po złożeniu

wieczystych ślubów otrzymał krzyż profesyjny.

Życzymy im wytrwania w łasce powołania i dalszego rozwoju duchowego na drodze kamiliańskiej służby drugiemu człowiekowi. ■





o. Paweł Dyl

„Lasza” - sen, który się spełnił

„Nie jestem pewien czy to sen, czy tak jest naprawdę” - mówi Kostik głosem przepełnionym radością, przekraczając pierwszy raz progi Centrum.

„Wreszcie mamy windę” - komentuje Martin, który jeszcze kilka dni wcześniej w starym budynku musiał być niesiony po krętych schodach na zajęcia odbywające się na piętrze.

„Teraz mamy oddzielne sale i uczestnicy muzykoterapii nie będą przeszkadzali nam w nauce szycia i wyszywania” - stwierdza Aliona, która preferuje spokój w czasie zajęć.

Pracownicy Centrum z zadowoleniem oglądają dużą kuchnię i łazienkę przystosowaną do potrzeb osób poruszających się na wózkach inwalidzkich. Sale rehabilitacyjne wyposażone przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Polski gotowe są na przyjęcie dzieci, dorosłych i osób starszych z problemami neuromotorycznymi.

21 lipca, w 13. rocznicę odejścia do Domu Ojca śp. o. Pawła Szczepanka, i w przeddzień urodzin śp. Laszy, zostało poświęcone Centrum Rehabilitacji. Na uroczystość poświęcenia przybyło

bardzo wielu gości: przełożony generalny Zakonu Kamilianów - o. Renato Salvatore wraz z konsulatorami; Prowincjał Polskiej Prowincji - o. Arkadiusz Nowak; Prowincjał Piemontskiej Prowincji - o. Joaquim Cipriano, Przełożona generalna Córek św. Kamila - matka Laura Bindo; Nuncjusz apostolski w Gruzji - mons. Marek Solczyński, przedstawiciele Polskiego Parlamentu, MSZ i Ambasady RP w Tbilisi, duchowieństwo i bardzo wiele osób związanych z naszą działalnością. Mszy św. przewodniczył nasz biskup i wielki przyjaciel osób dotkniętych cierpieniem - mons. Giuseppe Pasotto. Ojciec Renato w swej homilii podkreślił, iż nauczanie św. Kamila w dziedzinie



Nowe kamiliańskie Centrum Rehabilitacji „Lasza” w Tbilisi.

służby zdrowia jest nadal aktualne pomimo upływu 400 lat od jego śmierci (1614-2014). Kamilianie, poświęcając się całkowicie Chrystusowi obecnemu w człowieku, niosą im profesjonalną pomoc, czego widzialnym znakiem jest nowe Centrum „Lasza”.

Po zakończeniu Mszy św., Dyrektor Caritas Belluno Feltre i Renata Krzemppek z Fundacji Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci z Porażeniem Mózgowym oraz Magdalena Sidorowicz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Polski przecięli wstęgi oddziałów terapii zajęciowej i rehabilitacji. Uroczystość została uwieczniona przepięknym programem artystycznym przygotowanym przez gospodarzy miejsca, dla których zostało wybudowane Centrum Rehabilitacji.

Nowy budynek składa się z 3 pięter, każde zajmuje powierzchnię 1000 m kw. Na parterze znajdują się sale do fizjoterapii i fizykoterapii. Na pierwszym piętrze prowadzona jest ergoterapia, muzykoterapia, arterapia i psychoterapia. Trzecie piętro ze skromnymi, ale wygodnymi pokojami stoją otworem dla osób niepełnosprawnych, które z dalekich zakątków Gruzji przyjadą do Tbilisi na kursy rehabilitacji, a także dla gości z różnych części świata.

Osoba niepełnosprawna to człowiek jak każdy z nas, która ma prawo także do pracy. Mamy nadzieję, że w 2013 roku będziemy mogli urzeczywistnić kolejny sen – Dom Pielgrzyma – w którym osoby niepełnosprawne znajdą zatrudnienie.

Bogu niech będą dzięki za wszelką pomoc i wsparcie w czasie trwania prac budowlanych.

Za wszystkich wolontariuszy z Polski: elektryków, hydraulików, specjalistów od kładzenia podłóg, bez których zaangażowania doprowadzenie do otwarcia Centrum Rehabilitacji byłoby niemożliwe.

Za naszych Dobrodziejów, którzy poprzez modlitwę, cierpienia i ofiary materialne umożliwili nam realizację tak bardzo potrzebnego na Kaukazie dzieła.

Niech uśmiech osób niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo, łączy radości ich rodziców i modlitwy Kamilianów i Córek św. Kamila wypraszają Wam u Boga wszelkie potrzebne łaski. ■

Bardzo ucieszyłem się, kiedy w lutym o. Paweł Dyl przełożony wspólnoty gruzińskiej, z którym pracowałem wszystkie lata zadzwonił mi z informacją, że w uroczystość św. Kamila tego roku chciałby oddać do użytku nowo wybudowane centrum dla niepełnosprawnych. Nadszedł w końcu ten moment, na który tak długo czekaaliśmy wszyscy!!! Po wielu przeciwnościach losu i trudnościach UDAŁO SIĘ!!! Zaraz po otrzymaniu tej informacji podjąłem się organizacji wraz z delegacją, która razem ze mną udałaby się na otwarcie i poświęcenie budynku, a przy okazji zwiedzić kawałek tak malowniczej Gruzji..., bo zobaczyć wszystko jest nierealne w ciągu 12 dni. Ja sam, będąc 6 lat nie zdążyłem zobaczyć wszystkiego. Od momentu otrzymania tej radosnej informacji żyłem już wyjazdem. W moich myślach pojawiły się wszystkie chwile spędzone w Tbilisi, wszystkie osoby, z którymi pracowałem a w szczególności „sprawni inaczej”, którym poświęcałem tyle czasu, a w zasadzie to było moje życie, moja „osobista misja”. I chociaż podopieczni mają po 20, 30 lat albo i więcej, to zawsze były to „moje dzieci”!!! I tak zawsze o nich mówiłem i będę nadal tak mówił. Na początku pojawił się strach w duszy, jak będzie wyglądało nasze spotkanie po tylu latach? Co ja im powiem? Jak odpowiem na te wszystkie pytania?... Szczególnie na to jedno najtrudniejsze... kiedy wrócę. Jednak, gdy już doszło do spotkania twarzą w twarz rozumieliśmy się bez słów. W oczach pojawiły się łzy wzruszenia, a na twarzach moich „dzieci” wielka radość, która promie-



br. Robert Kukułka

Spotkanie po latach

Minęły trzy lata odkąd dekretem ojca Prowincjała zostałem skierowany do Polski celem podjęcia studiów licencjackich na kierunku pielęgniarstwa. Zmieniające się przepisy w Polsce i Europie były niejako przyczyną i wymogiem, by mój wyuczony zawód pielęgniarski nie został zaprzepaszczone. Jednak droga powrotna na misję do Gruzji nadal jest dla mnie aktualna i otwarta.

niowała niczym upalne słońce tego dnia. Wszyscy rzucali mi się na szyję, usłyszałem tyle ciepłych słów, mieliśmy sobie tyle do powiedzenia!!! Nawet Ci, których poznałem pierwszy raz już tyle o mnie słyszeli, a po Mszy św. każdy z nich z wielkim zaangażowaniem starał się wystąpić na przygotowanym przez siebie spektaklu jak najlepiej!!! Byłem przepehiony dumą, że coraz wspanialsze spektakle są przygotowywane... tańce gruzińskie z udziałem młodzieży

Otwarcie nowego centrum na wózkach, wiersze, skecze. Dopiero w tamtym momencie uświadomiłem sobie, ile pracy zostało włożone i jakie owoce to przyniosło dla tych ludzi. dziennego

pobytu daje większe szanse dla wielu niepełnosprawnych, którzy jeszcze gdzieś są odizolowani w domu na 5 piętrze, gdzie nie działa winda i nie mają możliwości, by być ze swoimi rówieśnikami, zdobywać nowe umiejętności, odkryć swoje zdolności, a przede wszystkim POCZUĆ SIĘ POTRZEBNYM!!!

Jak na jeden dzień zbyt wiele emocji i wrażeń pozostało w moim sercu, by to wyrazić w kilku słowach... Jednak tuż przed powrotem do Polski udało mi się osobiście odwiedzić kilka osób w ich domach i porozmawiać osobiście, wspominać wspólne chwile, wyjazdy, ale i podsunąć kilka nowych pomysłów dotyczących pracy

Brat Robert nadal marzy o powrocie do Gruzji.





na terapii zajęciowej. Wielu z nich nauczyło się profesjonalnych tańców narodowych, własnymi rękami tworzą wspaniałe pamiątki gruzińskie, szkatułki, obrazy na szkle i inne cudaczki. Nie sposób wymienić wszystko, ale naprawdę zostałem zadziwiony oglądając prace wykonane przez moje dzieci. Wielu z nich zdobyło umiejętności obsługi komputera, więc i kontakt między nami jest już łatwiejszy, czy to za pomocą poczty elektronicznej, czy też rozmowy na skype. W moim sercu pojawiła się duża energia i chęć dalszej współpracy na rzecz Gruzji i rozwoju tego dzieła, które zawierzylimy Opatrzności Bożej za pośrednictwem Laszy - wspaniałego chłopca i jednego z pierwszych podopiecznych. Odszedł do Pana w wieku 18 lat i tam w niebie stara się, by to dzieło nadal rozwijało się. Choć nie jest świętym, został patronem nowego centrum, które jest nazwane jego imieniem.

Mocno wierzę, że dzięki Waszym modlitwom drodzy czytelnicy oraz dobremu sercu i wsparciu w jakikolwiek sposób Dom Dziennego Pobytu w Tbilisi będzie rozwijał się nadal, byśmy mogli jako kamilianie dawać świadectwo o Chrystusie w ludziach chorych, niepełnosprawnych, również tam na Kaukazie. ■

MODLITWA DZIECKA NIEPEŁNOSPRAWNEGO UMYSŁOWO

Aby dotrzeć do obrazu Boga u dziecka niepełnosprawnego umysłowo, szczególną uwagę zwrócić należy na występującą u tych dzieci zredukowaną zdolność do abstrakcji i konkretności myślenia. Wychowawca nie powinien więc tworzyć infantylnego, antropomorficznego obrazu Boga. Szczególną wrażliwość należy także zachować w przypadku dzieci z upośledzeniem umysłowym, gdzie mówienie o Bogu jako karzącym w piekle może powodować skutki traumatyczne. Ponieważ dzieci upośledzone umysłowo mają ograniczoną zdolność myślenia abstrakcyjnego, bardzo często ich postawa wobec modlitwy może być warunkowana przez całkiem przypadkowe, niezuważalne przez opiekuna wydarzenia.

Wychowanie do modlitwy powinno się rozpocząć już w początkowym okresie życia dziecka. Bardzo ważną rolę odgrywa w tej kwestii relacja dziecka z rodzicami. Kiedy matka pochyla się nad dzieckiem i składa swoje ręce do modlitwy, dziecko czuje, że poprzez te gesty, poprzez zmienioną intonację głosu matki dzieje się coś niezwykłego. Gdy na zakończenie modlitwy matka czyni na czole swojego potomka znak krzyża, czuje się ono wtedy niezwykle, wie, że otoczone jest specjalną opieką. Dziecko, niezdolne do tworzenia obrazów abstrakcyjnych bardzo często kojarzy Boga z rodzicami. Jeśli oni są czuli i opiekuńczy, taki sam jest obraz Boga, gdy zaś rodzice są względem dziecka surowi i karzą go za każde przewinienie Bóg jawił się będzie takiemu dziecku jako sędzia, który często stosuje kary.

Modlitwa wypełniona jest różnymi symbolami. Tutaj także należy zachować szczególną ostrożność, gdyż dziecko nie odbiera symbolicznej rzeczywistości w sposób dosłowny i konkretny. Wychowawca powinien także zwrócić uwagę na to, by treść modlitwy związana była z aktualnie przeżywanymi przez dziecko problemami i radościami.

Warto jest zwrócić uwagę na naturalną zdolność dziecka do modlitwy i kontemplacji, która przejawia się w bardzo prostych czynnościach. Dziecko lubi, gdy po kilka razy opowiada mu się tę samą bajkę. Dzieje się tak nie dlatego, że zapomniało już treści ale, by poprzez kolejną opowieść mogło jeszcze raz na nowo ją przeżyć. Podobnie dzieje się wówczas, gdy dziecko przynosi co wieczór tę samą książkę z obrazkami i prosi, by rodzic opowiadał mu o tych obrazkach, których treść od dawna już zna.

Modlitwę wyrażać można na różne sposoby, przy pomocy oczu, ciała, wyobraźni, uczuć, myśli, uszu, rąk, ust. Ekspresja modlitewna dziecka upośledzonego umysłowo powinna być bardzo różnorodna i swobodna. Pamiętać należy, że modlić można się nie tylko klęcząc w pokoju, czy kościele, przed obrazami i figurami świętych, ale także przez śpiew, taniec i gesty. Szczególnie w przypadku dzieci niepełnosprawnych umysłowo gesty odgrywają bardzo ważną rolę, gdyż rekompensują one dziecku brak słownictwa, czy trudności w ubraniu w słowa tego, co się czuje i myśli.

Modlitwa jest dla człowieka niepełnosprawnego dodatkowym źródłem godności. Warto jest więc pielęgnować tę niezwykłą zdolność i umożliwiać każdemu dziecku, a szczególnie niepełnosprawnemu kontakt modlitewny z Bogiem. ■

Joanna Fuchs-Skwara

Co czeka zakonne placówki lecznicze?

Ustawa o działalności leczniczej, obowiązująca od 1 lipca 2011 roku wprowadziła ogromne zmiany w zasadach udzielania świadczeń zdrowotnych, organizacji i funkcjonowaniu podmiotów, które takie świadczenia realizują lub zamierzają realizować. Podstawową zmianą, na której opiera się nowy system ochrony zdrowia jest likwidacja instytucji zakładu opieki zdrowotnej jako podstawowej formy prowadzenia placówki leczniczej. Z dniem wejścia w życie ustawy o działalności leczniczej dotychczas funkcjonujące niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej stały się przedsiębiorstwami podmiotów leczniczych, a ich właściciele podmiotami leczniczymi.

Początkowe założenia przewidywały również, że działalność lecznicza będzie działalnością gospodarczą, a organizacje pozarządowe, takie jak fundacje i stowarzyszenia, kościoły oraz kościelne osoby prawne lub związki wyznaniowe, mogą prowadzić działalność leczniczą, ale tylko jako przedsiębiorcy. Zapis ten powodował, że dotychczasowa działalność charytatywno-opiekuńcza kościołów polegająca m.in. na prowadzeniu szpitali i innych placówek leczniczych została potraktowana jako działalność gospodarcza, czyli ukierunkowana na zysk. Jest to sprzeczne z ideą prowadzenia przez kościelne osoby prawne takiej działalności, gdyż jej głównym celem nie jest rentowność i rachunek ekonomiczny, lecz potrzeba niesienia pomocy i wsparcia ludziom chorym oraz realizowanie misji chrześcijańskiej poprzez opiekę nad słabszymi i potrzebującymi pomocy, jakimi są osoby chore i niepełnosprawne.

Nowelizacja ustawy na szczęście odezła od sprowadzenia całej działalności leczniczej do działalności gospodarczej i podzieliła ją na tę wykonywaną jako działalność gospodarcza przez przedsiębiorców i wykonywaną jako działalność niegospodarczą realizowaną np. przez organizacje pożytku publicznego czy kościelne osoby prawne. Nie zmienia to jednak faktu, że kościelne osoby prawne muszą dostosować się do nowych przepisów i przekształcić prowadzone przez siebie zakłady opieki zdrowotnej w przedsiębiorstwa podmiotu leczniczego i co trudniejsze, określić, czy to one same będą podmiotami leczniczymi, czy w swojej strukturze wyodrębnią np. spółkę prawa handlowego lub fundację i wów-

czas podmiotem leczniczym stanie się ta nowo utworzona organizacja.

To drugie rozwiązanie, chociaż dużo bardziej skomplikowane pod względem prawnym (m.in. konieczność rejestracji, określenia praw majątkowych czy cesję dotychczasowych umów), ma zasadniczą przewagę nad pierwszym, a mianowicie pod firmą podmiotu leczniczego prowadzona jest głównie działalność lecznicza. W przypadku, gdy kościelna osoba prawna zdecyduje, że nie będzie tworzyła dodatkowej struktury i zostanie podmiotem leczniczym, będzie prowadziła działalność leczniczą pod swoją nazwą, tą samą, pod którą dotychczas realizowała swoje zadania społeczne, organizacji kultu i inne, i która stanowi o tożsamości kościelnej osoby prawnej.

Na takie właśnie rozwiązanie zdecydował się Zakon Posługujących Chorym, Ojcowie Kamilianie, w którym obecnie trwają prace nad dostosowaniem prowadzonej działalności medycznej do wymagań „Ustawy o działalności leczniczej”. Proces reorganizacji rozpoczęty został od stworzenia zasad funkcjonowania w obszarze, w jakim Zakon uzyskał status podmiotu leczniczego oraz opracowanie regulaminu organizacyjnego, odpowiadającego wymogom określonym w art. 24 ustawy o działalności leczniczej. Przepis ten wskazuje na obligatoryjne elementy, jakie muszą się znaleźć w regulaminie. Niezbędnym minimum, jakie musi określać regulamin podmiotu leczniczego, to m.in.: forma podmiotu leczniczego, jego cele i zadania oraz struktura organizacyjna. Każdy podmiot, wedle własnych potrzeb, może dodatkowo unormować w regulaminie różne kwestie istotne z punktu widzenia jego działalności. W przy-

padku oo. Kamilianów, na pewno będą to sprawy związane ze zmianą formy funkcjonowania jego dotychczasowych zakładów tj. **Szpitala Św. Kamila w Tarnowskich Górach** oraz **Zakładów Opiekuńczo-Lecznicznych w Hutkach i Zabru.**

W tym miejscu należy dodać, że w wielu przypadkach zakłady opieki zdrowotnej, które funkcjonowały przez lata jako samodzielne jednostki, często w zupełnym oderwaniu od tworzących je pomiotów, w obrocie rynkowym były traktowane jako podmioty niezależne pomimo braku osobowości prawnej, ponieważ forma Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej (NZOZ) była tylko kategorią organizacyjną a nie prawną. Opracowany regulamin organizacyjny będzie wyznaczał kolejne działania - rejestrację w rejestrze Wojewody, zatwierdzenie programów dostosowania pomieszczeń zakładów do wymogów sanitarnych oraz przejęcie przez Zakon pracowników zatrudnionych przez zakłady opieki zdrowotnej.

Ustawa o działalności leczniczej ma na celu uporządkowanie systemu ochrony zdrowia, nie jest jednak antidotum na największy problem, z jakim boryka się służba zdrowia w Polsce, tj. brak środków finansowych wystarczających na zaspokojenie potrzeb pacjentów i profilaktykę zdrowia. I dzieje się tak mimo tego, że ustawa zakłada przekazywanie środków finansowych podmiotom wykonującym działalność leczniczą na realizację programów zdrowotnych i promocję zdrowia, zakup sprzętu medycznego oraz remonty placówek medycznych, inne inwestycje, refundację kosztów podnoszenia kwalifikacji osób wykonujących zawody medyczne.

Już w projekcie ustawy deklarowano, że podmioty prowadzące działalność leczniczą niezależnie czy są publiczne, czy prywatne, będą traktowane na jednakowych zasadach w zakresie dostępu do środków publicznych. Jednak mimo wielu podmiotów, które mogą przekazywać środki wykonującym działalność leczniczą nie wskazano źródeł finansowania tych przedsięwzięć. Dla osób chorych wszakże nie jest istotne czy pomoc medyczną uzyska w NZOZ, podmiocie leczniczym czy jego przedsiębiorstwie, czy będzie ona zdefiniowana jako działalność gospodarcza czy charytatywno-opiekuńcza... dla osób chorych najważniejsze jest, aby nie pozostawały ze swoim cierpieniem same, aby mogły uzyskać pomoc lekarza, gdy jest ona rzeczywiście potrzebna, a nie tylko wtedy, gdy pozwala na to kontrakt. ■



O. Szymon i o. Władysław podczas formacji seminaryjnej.

Wspomnienia po 40 latach

Być może, wielu z naszych współbraci, zadaje sobie pytanie: co skłoniło nasze ówczesne władze zakonne do podjęcia decyzji wysłania kleryków na studia do odległego Włocławka? Po wielu latach, warto wrócić do pewnych osobistych wspomnień, związanych poniekąd z historią naszej kamiliańskiej Prowincji.

Czas nowicjatu, wspólnie z ojcem Władysławem - a należy zaznaczyć, że rozpoczynało nas pięciu - zbiegł się ze szczególną rocznicą w Polsce, Wielkimi Obchodami Jubileuszowego Roku Tysiąclecia Chrztu Polski 966-1966. W tymże roku po ukończeniu nowicjatu i po odprawionych rekolekcjach, dwóch nowicjuszy nieoczekiwanie zrezygnowało ze złożenia ślubów czasowych, dlatego w tej sytuacji pozostało mi samemu dotrzeć do Włocławka. Po miesiącu dołączył do mnie kleryk Władysław, który zgodnie z wymogiem prawa kanonicznego o rocznym nowicjacie, musiał bez żadnej taryfy ulgowej dokończyć nowicjat rozpocząty miesiąc później.

Przełożeni powzięli decyzję, aby cała formacja filozoficzno-teologiczna naszych alumnów, odbywała się w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku i abyśmy zamieszkali w seminarium, dopóki nie stworzy się warunków do otwarcia domu zakonnego w tej diecezji. Po roku czasu,

przybył trzeci kamilianin, kleryk Antoni Bednarczyk.

Aby odpowiedzieć na zadane wcześniej pytanie, należy przenieść się myślą o wiele lat wstecz, kiedy to po raz pierwszy, jeszcze przed II wojną światową, kamilianie zawitali na ziemię kujawską diecezji włocławskiej. Byli nimi O. Antoni Sołtysiak i O. Józef Boratyn. Przeżyli tam okres wojenny, prowadząc duszpasterstwo parafialne i szpitalne na terenie Lipna, nieopodal Włocławka. W okresie okupacji niemieckiej często musieli ukrywać się przed gestapo w pobliskich wioskach, o czym dowiedziałem w rozmowach z O. Boratynem, który powracał, w swych czasem bardzo osobistych wspomnieniach, do trudnych i pełnych zagrożeń lat wojny. Przez pewien okres O. Józef był zmuszony, by ukryć się w klasztorze sióstr zakonnych, przebrany w ich zakonny habit. W kościele parafialnym w Lipnie zachowała się do tej pory pamiątkowa tablica poświęcona O. Sołtysiakowi z Zakonu OO. Kamilianów, upamiętniająca wdzięczność parafian za ofiarną posługę i pomoc niesioną ludziom Lipna, gdzie pełnił wtedy funkcję dziekana i proboszcza parafii w latach 1939-1946.

Ówczesny Biskup, Paweł Pawłowski, Ordynariusz diecezji, który przyjmował nas do seminarium, na jednym ze spotkań, wyraził wdzięczność pierwszym kamilianom, którzy pielęgowali jego chorą matkę i cieszył się, że zakonnicy znów powrócili do jego diecezji. Należy także wspomnieć, iż dwaj nasi ojcowie, O. Alfred Karch i

Alumni seminarium III roku studiów (1969) na tle katedry włocławskiej.



MODLITWA ZA KAPŁANÓW PRACUJĄCYCH W PARAFII

Panie, Jezu Chryste,
Najwyższy i Jedyne
Kapłanie, Ty dajesz
swojemu Kościołowi
pasterzy według Twojego
Serca. Dziękujemy Ci za
kapłanów posługujących
w naszej parafii obecnie,
a także za tych, którzy
posługiwali w niej
w przeszłości jak również
za tych, których do nas
poślesz w przyszłości.
Udziel im swojego Ducha,
aby byli niezmordowanymi
sługami i głosicielami
Ewangelii, szafarzami
sakramentów i w duchu
miłości służyli
powierzonym im wiernym.
Niech będą pasterzami
zapatrzonymi w Ciebie,
który jesteś Dobrym
Pasterzem i w Tobie niech
będą rozmaitowani.
Nam zaś daj łaskę
wspomagania ich
w posługiwaniu i życiu
przez modlitwę
i angażowanie się w życie
parafii. Daj nam także
poczucie
odpowiedzialności za
kapłanów w życzliwie
wypowiadanych słowach,
opiniach, w modlitwie
i trosce o ich owocne
posługiwanie pośród nas.
Zmarłym daj niebo.
Który żyjesz i królujesz
na wieki wieków.
Amen.



Prymicje w rodzinnej parafii o. Szymona.



O. Jan Ciszewski, w okresie powojennym studiowali właśnie w tym seminarium. Niektórzy profesorowie wraz z rektorem seminarium ks. Leonem Dębowskim, dobrze zapamiętali Fredzia i Janka jako ich seminaryjnych kolegów i mile wspominali zakonników „krzyżaków”. Stąd też, tak przypuszczam, chęć powrotu na te tereny, aby po wielu latach odnowić kontakty z tą diecezją i co szczególnie ważne, aby zrealizować dawne plany, unicestwione przez zmiany ustrojowe, z dojściem do władzy komunistów, walczących z kościołem i niechętnych jakimkolwiek inicjatywom Zakonów. O takich planach świadczy fakt, że kamilianie byli już od dawna w posiadaniu działek budowlanych w Michelinie na obrzeżach Włocławka, z myślą otwarcia domu zakonnego i wybudowania tam jakiejś struktury szpitalnej służącej chorym.

Pierwszy rok studiów filozoficznych rozpoczęła dość liczna grupa 31 alumnów wspólnie z naszą dwójką. Na drugim i trzecim roku nastąpiły przetasowania, gdyż niektórzy zostali powołani do odbycia służby wojskowej (i to w specjalnej kompanii zarezerwowanej tylko dla seminarzystów) w Bartoszycach i na Śląsku w Bagnie, mającej na celu „pranie mózgu” młodym seminarzystom. Prawie wszyscy alumni wrócili, i jak to podkreślali niektórzy, bardziej umocnieni i umotywowani w swym powołaniu, choć opóźniło to czas ukończenia ich stu-

diów o dwa lata. Mnie się jednak udało, gdyż stając przed komisją rekrutacyjną, wykryto wrodzoną wadę wzroku prawego oka, trochę naciągniętą przez lekarza wojskowego, przychylnego kościołowi, który wielu kleryków uchronił przed służbą. To przyczyniło się do odroczenia i przeniesienia mnie do rezerwy. Kleryk Władysław, jako starszy kapral, miał już służbę wojskową za sobą, gdyż odsłużył ją jeszcze przed wstąpieniem do Zakonu.

Na drugim roku, powierzono mi prowadzenie chóru seminaryjnego liczącego około 15 alumnów. Byliśmy zapraszani na różne uroczystości parafialne w całej diecezji, aby towarzyszyć wiernym naszym chóralnym śpiewem. Przy tej okazji, jako klerycy, organizowaliśmy powołaniowe spotkania z młodzieżą parafialną. Była to też szczególna okazja dla nas, kamilianów, aby zaprezentować nasz Zakon. Zawsze budził zaciekawienie nasz habit z czerwonym krzyżem. Kleryk Władysław został odpowiedzialnym za seminaryjną sekcję charytatywną: organizowanie zbiórek pieniężnych na potrzeby charytatywne, opracowywanie harmonogramu odwiedzin chorych i biednych rodzin na terenie całego Włocławka, angażując i wciągając w to wielu kleryków. Programem było objętych od 30 do 70 chorych i potrzebujących, w zależności od zmieniających się okresów.

Magistrem naszej trójki został mianowany O. Józef Boratyn, który

zamieszkał w pobliskim Michelinie, nieopodal naszych działek. Planowane z nim spotkania wchodziły w zakres formacji kamiliańskiej i wspierania naszych potrzeb. Po kilku latach, ze względów zdrowotnych, musiał powrócić na Śląsk. Na jego miejsce został mianowany O. Antoni Kormański, który zamieszkał w domu zakonnym Sióstr Wspólnej Pracy w pobliżu Seminarium, pełniąc także w Seminarium posługę spowiednika, bardzo cenioną wśród alumnów.

Co roku, każde święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz wakacje, spędzaliśmy w naszych domach zakonnych na Śląsku, wraz z alumnami z Kłodzka, pomagając w duszpasterstwie i w naszych wspólnotach.

Święcenia kapłańskie otrzymaliśmy 17 czerwca 1972 r. w pięknej neogotyckiej katedrze N. M. Panny. Udzielił nam ich ówczesny Ordynariusz Diecezji ks. Bp Jan Zaręba, w obecności O. Prowincjała O. Alfreda Karcha, jedyne go przedstawiciela kamilianów.

Z przyjęciem święceń w 1972r., kamilianie na dobre pożegnali się z seminarium wrocławskim i zakończyła się cenna dla nas i pełna niezapomnianych wspomnień, sześćdziesięcioletnia przygoda z tą diecezją. Podczas czwartego roku studiów, tragiczny śmiertelny wypadek samochodowy Biskupa Pawłowskiego pod Opolem i nagłe jego odejście, wpłynęło poniekąd na dalsze losy kamilianów. Z nastaniem nowego Ordynariusza, niezbyt przychylnego na otwieranie nowych domów zakonnych, wygasła też nadzieja na powstanie naszego domu zakonnego w tej diecezji. Trzeba rów-



Podczas pierwszej Mszy Św. prymicyjantowi asystował o. Jan Tarnowski.

nież zaznaczyć o przejściu do naszego Zakonu jednego z kleryków drugiego roku, Zbigniewa Musielaka. Choć była to jego świadoma i osobista decyzja, jednak w tamtych czasach nie została dobrze odebrana przez władze seminaryjne. Po naszych święceniach, kleryk Antoni został przeniesiony do Wyższego Seminarium Duchownego OO. Franciszkanów w Kłodzku, gdzie studiowała już spora grupa kleryków kamiliańskich. Przełożeni zdecydowali, by wszyscy nasi klerycy byli skupieni w jednym seminarium OO. Franciszkanów w Kłodzku.

W tym samym dniu O. Prowincjał wręczył mi dekret, kierując mnie do pracy duszpasterskiej w mojej rodzinnej parafii św. Kamila w Zabrze. Muszę przyznać, że była to dla mnie nominacja trochę niezręczna, gdyż jak to się mówi: „trudno jest być prorokiem we

własnej ojczyźnie”, w rodzinnej parafii, gdzie spędziło się dzieciństwo i młodość. O. Władysław został oddelegowany do posługi duszpasterskiej w Taciszowie, otrzymując równocześnie nominacją na wicemagistra nowicjuszy.

Tydzień po święceniach kapłańskich, odprawiłem Pierwszą Mszę św. Prymicyjną w naszej Zabrzeńskiej Parafii św. Kamila. Należy tu wspomnieć, że były to oczekiwane od dawna, pierwsze Prymicyje w tej parafii. Podkreślił to podczas Mszy św. Prymicyjnej, wieloletni proboszcz parafii O. Jan Tarnowski, iż od zarania istnienia kościoła i parafii św. Kamila, kroniki parafialne nie odnotowały żadnych powołań do kapłaństwa. Dzięki łasce i dobroci Bożej, otrzymałem więc ten szczególny dar i zaszczyt, zostać pierwszym kapłanem, co więcej, pierwszym kamilianinem, pochodzącym z tej zabrzeńskiej parafii, której patronował św. Kamil.

Podczas Mszy św. Prymicyjnej asystował mi O. Jan Tarnowski, za co byłem mu wdzięczny. Ceniony przez swych parafian i szczególnie bliski memu sercu, wieloletni Proboszcz z lat mego dzieciństwa i młodości, mojego powołania i wstąpienia do Zakonu i wreszcie momentu mojego dojścia do Bożego Ołtarza.

Zachęcam współbraci do spontanicznego dzielenia się różnymi wspomnieniami z okazji znaczących rocznic.

Moc serdecznych i gorących pozdrowień z Genui wraz z modlitwą -

O. Szymon

Obecnie o. Szymon jest kapłanem w szpitalu GALLIERA w Genui.



Nowicjusze kamiliańscy 2012 / 2013 rok

Jean Marcel Randrianandrasana

Pochodzi z Madagaskaru.
Ma 24 lata i w zakonie chce
zostać kapłanem.



Brudo Rakotozafy

Pochodzi z Madagaskaru.
Ma 26 lat i w zakonie chce
zostać kapłanem.

Grzegorz Piskorz

Pochodzi z Trzciana
k. Bochni.
Ma 29 lat i w zakonie chce
zostać bratem zakonnym.



Wojciech Kieryk

Pochodzi z Sufczyzna
k. Przemyśla.
Ma 25 lat i w zakonie chce
zostać bratem zakonnym.

Tomasz Ciesielski

Pochodzi z Kołobrzegu.
Ma 32 lata i w zakonie chce
zostać kapłanem.



PAŹDZIERNIK

16.10. - LITURGICZNE WSPOMNIENIE
BŁ. JÓZEFINY VANNINI

LISTOPAD

2.11. - 40. urodziny obchodzi
o. Tomasz Czaja

5.11. - 20. rocznica śmierci
br. Józefa Lidzby

16.11. - UROCZYSTOŚĆ MATKI BOŻEJ
UZDROWIENIE CHORYCH

18.11. - 40. urodziny świętuje
o. Maciej Adamczewski

28.11. - urodziny o. Prowincjała
Arkadiusza Nowaka

GRUDZIEŃ

8.12. - UROCZYSTOŚĆ
NIEPOKALANEGO POCZĘCIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
*Dzień odnowienia ślubów
zakonnych przez wszystkich
profesów Zakonu Posługujących
Chorym (ZO 32; ZP 35)*

9.12. - 40. urodziny obchodzi
o. Tomasz Bajda

- 10. rocznica ślubów wieczystych
br. Roberta Kukułki



Źroczystość ślubów zakonnych w Taciszowie

- 8 września 2012 r. -



MODLITWA RODZICÓW DO ANIOŁA STRÓŻA POCZĘTEGO DZIECKA

*Aniele Stróżu
naszego dziecka,
które ma się narodzić.
Pozdrawiamy Ciebie
już teraz jako danego
od Boga opiekuna
naszego dziecka
i prosimy Cię,
wlej miłość w nasze
serca, abyśmy
kochali je miłością
podobną do tej,
jaką Bóg je kocha.
Pomóż, abyśmy je
przyjęli z otwartymi
ramionami i kochali
nawet wówczas,
gdy nie spełni ono
naszych oczekiwań.*

Amen

Redaktor wydania
o. Mirosław Sz wajnoch MI

Współpraca
o. Arkadiusz Nowak MI

Opracowanie graficzne i skład
o. Mirosław Sz wajnoch MI



Adres redakcji
Dom Prowincjalny
oo. Kamilianów
ul. Bytomska 22
42-606 Tarnowskie Góry

Telefon: (32) 285 76 96
e-mail: redakcja@kamilianie.eu

www.kamilianie.eu